



Andrzej Kaczorowski ps. „Mały”, „Kaczor”

## BYŁEM HARCERZEM W SZARYCH SZEREGACH

Wybuch wojny zastał nas w Brześciu nad Bugiem. Urodziłem się w Brześciu w 1930 roku. Było to miasto wojewódzkie na wschodzie Polski, po wojnie zostało za wschodnią granicą i jest przyłączone do Białorusi. Mój ojciec był kierownikiem Telegrafu w Wojewódzkim Urzędzie Pocztowo-Telegraficznym i jednocześnie prezesem miejscowego Oddziału Przynależności Wojskowej. Nie wszystko pamiętam, bo miałem zaledwie 9 lat i byłem uczniem III klasy szkoły podstawowej. Zapamiętałem jednak, że ojciec mój został powołany do wojska. Wrócił pod koniec września.

Brześć został najpierw zajęty przez wojska niemieckie, a w drugiej połowie września Niemcy przekazali miasto władzom radzieckim. Obaj okupanci ustalili granicę między sobą na linii Bugu. Pamiętam dobrze ten dzień z powodu defilady, jaka się wówczas odbyła. Na jednej z głównych ulic ustawiono trybunę, na której stali obok siebie przywódcy niemieccy i radzieccy, a przed nimi przejeżdżały tryumfalnie czołgi radzieckie.

Mimo okupacji zajęcia w szkole odbywały się, ale wprowadzono dodatkowo naukę języka rosyjskiego i otrzymaliśmy czytanki w tym języku.

W marcu 1940 roku rozpoczęły się aresztowania urzędników państwowych. W Wielki Piątek, około godz. 4 nad ranem, funkcjonariusze NKWD przyszedli po mojego ojca. Początkowo aresztowanych przetrzymywano w miejscowym więzieniu, następnie wywożono ich na Sybir. Rozeszła się wiadomość, że następnym posunięciem sowietów będą wywózki całej rodziny aresztowanego. W związku z tym moja mama postanowiła ratować naszą rodzinę (miałem jeszcze siostrę i brata). Mama dowiedziała się, że zawarte porozumienie niemiecko-sowieckie zezwala Polakom, którzy uciekli przed Niemcami na wschód, powrócić do miejsca poprzedniego zamieszkania. Posługując się dokumentami ojca stwierdzającymi, że urodził się w Warszawie, uzyskała zgodę ambasady Niemiec na wyjazd z Brześcia. Powiedziała, że przyjechaliśmy do Brześcia na wakacje do ciotki i tu zastał nas wybuch wojny; teraz chcemy wrócić do swego domu w Warszawie, gdzie pozostał ojciec. Musieliśmy wszystko zostawić, zabraliśmy tylko niezbędne rzeczy osobiste, które zmieściły się w jednej walizce. Ostatnim transportem udało nam się uciec.

Wspomnę jeszcze tylko krótko o wojennych losach mego ojca. Z łagru na Syberii udało mu się dotrzeć do formowanej przez gen. Władysława Andersa Armii Polskiej, z którą przeszedł szlak bojowy poprzez Tobruk i Monte Cassino. Do kraju wrócił w 1947 roku.

Po przybyciu do Warszawy zatrzymaliśmy się u rodziny na Nowym Bródnie, w dzielnicy Praga Północ. Większość mojej warszawskiej rodziny zaangażowana była w działalność konspiracyjną. Wśród innych krewnych mój stryj Stanisław Kaczorowski był żołnierzem AK, a jego syn Tadeusz ps. „Topola” i „Dzidzia” – żołnierz ze zgrupowania „Radosław” batalionu „Pięść” – był w osłonie KEDYW-u. Również starsza ode mnie o 6 lat moja siostra (drużynowa w przedwojennym harcerstwie) po przyjeździe do Warszawy i podjęciu nauki w szkole średniej wstąpiła do podziemnego harcerstwa, do 23. Warszawskiej Żeńskiej Drużyny Harcerskiej. Często po powrocie ze zbiórki ćwiczyła ze mną musztrę, doskonaliła umiejętności opatrywania ran, tamowania krwotoków i unieruchamiania kończyn. Z przedwojennego podręcznika dla podoficerów Wojska Polskiego poznawaliśmy wspólnie budowę i instrukcję obsługi broni maszynowej i granatów. Przed wybuchem Powstania Warszawskiego siostra na polecenie organizacji pracowała z dziećmi z Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych. Podczas powstania była sanitariuszką na Starym Mieście, w batalionie szturmowym „Parasol”. Po upadku powstania została wywieziona do obozu jenieckiego na terenie Niemiec. Wróciła do kraju w 1947 roku.

Jak już wcześniej wspominałem, po ucieczce z Brzeźcia zatrzymaliśmy się u krewnych w Warszawie. Od nowego roku szkolnego 1940/41 rozpocząłem naukę w IV klasie w szkole przy ulicy Bartniczej. Szybko nawiązałem kontakt z chłopcami z rodzin działających w konspiracji. Kolega z sąsiedniego domu, Janusz Zawadzki, powiedział mi w tajemnicy, że jest harcerzem i dostał polecenie utworzenia nowego zastępu. Na zbiórce spotkałem jeszcze czterech kolegów, których nazwisk już nie pamiętam. Na przełomie lutego i marca 1943 roku zostałem harcerzem zastępu „Żbików” drużyny im. św. Jerzego nr 223, która wchodziła w skład Roju Podhale – Zawisza, Bloku Bazylika, Ulu Wisła Szarych Szeregów. Miałem pseudonimy „Mały” i „Kaczor”. Braliśmy udział w szkoleniach wojskowych, na których zapoznawano nas z budową i posługiwaniem się bronią, uczono topografii, tzn. tworzenia i czytania map sztabowych, orientacji w terenie itp.

Naszemu zastępowi polecono działanie w ramach tzw. małego sabotażu. Naszym zadaniem było:

- rozrzucanie ulotek
- kolportaż tajnej prasy, m.in. gazetki Zawiszaków „Bądź gotów”

- malowanie haseł na murach („Hitler kaputt”, znak Polski Walczącej)
- rozsypywanie kolców i gwoździ na drodze jadących samochodów niemieckich.

Mieszkanie nasze udostępniane było jako „melina” dla ukrywających się ludzi z AK. Między innymi ukrywał się u nas mój cioteczny brat Henryk Fedorowicz ps. „Cichy” i „Pakunek”, członek wydzielonej Organizacji Dywersyjnej ZWZ-AK „Wachlarz”. Po rozbiciu więzienia w Pińsku, w czym uczestniczył, był poszukiwany przez gestapo na terenie Brześcia, gdzie uprzednio mieszkał. Został wezwany do Warszawy przez dowódcę „Wachlarza” i ukrywał się u nas w okresie od 9 maja do 8 czerwca 1943 roku, tj. do czasu wyjazdu w Góry Świętokrzyskie, do Zgrupowania Partyzanckiego AK majora Jana Piwnika ps. „Ponury”, „Nurt”. Podczas pobytu u nas Henryk kilkakrotnie wysyłał mnie pod różne adresy w celu utrzymania kontaktu ze swoim dowództwem. Przynosiłem mu prasę konspiracyjną. Dostarczyłem też mu pistolet VIS, który znalazłem kilka dni wcześniej w naszej piwnicy – owinięty w mocno zakurzoną szmatę leżał głęboko wetknięty w szczelinę. Natknąłem się na niego szukając odpowiedniego miejsca na przechowanie przez noc prasy konspiracyjnej, której nie zdążyłem w tym dniu przekazać dalej.

Po wyjeździe w Góry Świętokrzyskie Henryk jeszcze kilka razy zatrzymywał się u nas na noc, przyjeżdżając do Warszawy na różne akcje dywersyjne. Po jednym z takich pobytów, o świcie, nasz dom został otoczony przez żandarmerię. Przyjechali trzema samochodami ciężarowymi, rozstawili karabiny maszynowe, a kilku gestapowców wtargnęło do mieszkania. W tym dniu w mieszkaniu byliśmy tylko ja i siostra. Wypytywali nas o Henryka Fedorowicza. Uparcie twierdziliśmy, że nie widzieliśmy go od naszego wyjazdu z Brześcia. Chcąc wymusić interesujące ich informacje, bili nas i krzyczeli, że mają sposoby na wydobycie z nas prawdy. W końcu kazali nam ubierać się i powiedzieli, że zabiorą nas na przesłuchanie. Na szczęście jeden z samochodów zarył się w piaszczystym gruncie i nie mógł ruszyć, a zanim to się udało, przyjechał motocyklista i przekazał krótki rozkaz oficerowi dowodzącemu akcją. Ten polecił żandarmom



Przyjechali trzema samochodami ciężarowymi, rozstawili karabiny maszynowe, a kilku gestapowców wtargnęło do mieszkania. W tym dniu w mieszkaniu byliśmy tylko ja i siostra. Wypytywali nas o Henryka Fedorowicza. Uparcie twierdziliśmy, że nie widzieliśmy go od naszego wyjazdu z Brześcia. Chcąc wymusić interesujące ich informacje, bili nas i krzyczeli, że mają sposoby na wydobycie z nas prawdy. W końcu kazali nam ubierać się i powiedzieli, że zabiorą nas na przesłuchanie. Na szczęście jeden z samochodów zarył się w piaszczystym gruncie i nie mógł ruszyć, a zanim to się udało, przyjechał motocyklista i przekazał krótki rozkaz oficerowi dowodzącemu akcją. Ten polecił żandarmom

wyciągnięcie zarytego samochodu, po czym szybko odjechali, prawdopodobnie na następną akcję. Jeden z gestapowców krzyknął tylko: „My tu jeszcze wrócimy, ale cały dom pójdzie z dymem!” Szczęśliwie dla nas – nie wrócili.

## Uzupełnienie do wspomnień Andrzeja Kaczorowskiego

### “BYŁEM HARCERZEM W SZARYCH SZEREGACH”

W lipcu 1944 roku komendant Roju „Podhale” otrzymał rozkaz wprowadzenia na terenie swojego działania służby WISS (Wywiad Informacyjny Szarych Szeregów). Spowodowane to było tym, że w tym czasie zauważono ożywienie w przemieszczaniu się i koncentracji wojsk niemieckich. Zatrzymywały się na Pradze (prawobrzeżnej Warszawie) duże zgrupowania piechoty zmotoryzowanej, artylerii i czołgów. Doszło nam nowe zadanie. W jednoosobowych patrolach prowadziliśmy obserwacje w wyznaczonych punktach. Ja pełniłem dyżury na przejeździe kolejowym na Pelcowiznie, w pobliżu skrzyżowania ul. Toruńskiej z ul. Modlińską. Notowaliśmy w zaszyfrowany sposób przejeżdżające pociągi, podając kierunek, w jakim jadą i to, co przewożą, tzn. czy jest to wojsko, samochody ciężarowe czy czołgi.

Znajdujące się na Nowym Bródnie warsztaty kolejowe i stacje rozrządowe były największe w całej Generalnej Guberni. Główny ruch transportów na Wschód przebiegał przez ten węzeł – tu były formowane składy pociągów. Od czerwca 1941 roku wychodziły stąd, po ich sformowaniu, transporty wojskowe, uzbrojenie i zaopatrzenie frontów na Wschód.

Obserwacje prowadziliśmy też w pobliżu skrzyżowań ważnych strategicznych dróg. Potem przepisywaliśmy to na małe kartki i dostarczaliśmy do tzw. „skrzynek”. Dalej te informacje trafiały do Sztabu Głównego AK.

W miarę zbliżania się frontu ze wschodu, nasiliła się częstotliwość bombardowań (szczególnie nocą) przez samoloty radzieckie. Dzień lub dwa przed wybuchem powstania doszły do nas wiadomości, że na rogatkach Grochowa pokazały się radzieckie czołgi. W nocy nisko przelatujące samoloty rozsypywały ulotki nawołujące do rozpoczęcia powstania. Jak wiadomo – Sowieci nie wsparli Polaków, wręcz wycofali się.

30 lipca 1944 roku moja siostra udała się na zgrupowanie na Stare Miasto. 1 sierpnia już od samego rana słychać było strzelaninę. Najpierw były to krótkotrwałe wymiany ognia, które zaczęły się nasilać w godzinach południowych. O godzinie 17.00 zawyły syreny. Był to oczekiwany sygnał dla całej Warszawy do rozpoczęcia powstania. Po około dwóch godzinach przez moją ulicę (mieszkałem na Julianowskiej) przejechał rozpędzony czołg. Dojechał do końca ulicy, zawrócił, wystrzelił z działa, uszkadzając jeden z domów i równie szybko odjechał obrzucany granatami przez grupy mężczyzn. Granaty te pochodziły z konspiracyjnej wytwórni, były to tzw. *sidolówki i filipinki*. Mieszkańcy ulicy natychmiast przystąpili do kopania rowu przeciwczołgowego. Kopali wszyscy: mężczyźni i kobiety, starsi i młodzi, pomagały nawet dzieci. Następnego dnia rano dokończono kopanie rowu. Miał on 3 metry szerokości i przebiegał w poprzek całej ulicy, od domu do domu.

Pod wieczór słychać było strzelaninę na terenach kolejowych. Niemcy zbudowali tam gisernię, czyli odlewnię części do parowozów i różnych maszyn i urządzeń kolejowych. Terenów tych pilnowali *banszuće* – niemiecka policja kolejowa. Ubrani w czarne mundury *banszuće* byli uzbrojeni. Chłopcy małymi grupkami podkradali się pod portiernie i próbowali rozbroić wartowników. Nie zawsze próby te kończyły się sukcesem – byli też ranni po obu stronach. Jednak udało się zdobyć trochę karabinów i amunicji.

Wieczorem, wracając z patrolu, zobaczyłem płonący jeden z trzech budynków szkoły przy ul. Bartniczej. W 1942 roku Niemcy zajęli szkołę i urządzili tam koszary dla żołnierzy Wehrmachtu. Kilka dni przed powstaniem wojsko opuściło koszary prawdopodobnie ze względów strategicznych. Pozostała tylko mała garstka pilnujących obiektu. Powstańcy chcieli wdrzeć się do koszar. Wywiązała się strzelanina. Niemcy zorientowali się, że nie mają szans i poddali się. Wzięto do niewoli 9 żołnierzy. Jeden zaczął uciekać i został zastrzelony. Zdobytą broń i amunicję pomogłem zanieść na ul. Kiejstuta.

Na drugi dzień, gdy szedłem na dyżur, usłyszałem strzelaninę. To niemiecki czołg torował drogę dla samochodów ciężarowych wiozących prowiant dla wojska (prawdopodobnie do koszar na ul. 11 Listopada). Powstańcy usadowieni z karabinem maszynowym w oknie domu nauczycielskiego ostrzelali kolumnę. Z drugiej strony ulicy inna grupa też ostrzelała samochody. Z uszkodzonych samochodów niemieccy żołnierze przeskoczyli do czołgu i zawrócili. Pozostawili samochody załadowane przeznaczonymi dla wojska czekoladami, papierosami i innymi artykułami spożywczymi. Samochody zostały zepchnięte na teren boiska szkolnego, a zawartość rozdzielona.

W tym też czasie kilku powstańców zostało skierowanych na teren warsztatów kolejowych i parowozowni. Dostali zadanie rozbrojenia i unieszkodliwienia założonego tam przez Niemców zaminowania. Akcja zakończyła się powodzeniem, co zapobiegło zniszczeniu tych obiektów przez wycofujących się później Niemców. Ponadto udało się zdobyć ładunki wybuchowe i lonty, które następnie założono wzdłuż ulic Wysockiego i Białoleńskiej. Uzbrajanie ładunków i ich umieszczenie pod jezdnią wykonał p. Karbowski, przedwojenny saper, następnie żołnierz AK.

Na naszym terenie (prawobrzeżna Warszawa) powstanie upadło po czterech dniach. Przyszedł rozkaz o zaprzestaniu walk. Część powstańców próbowała się przedrzeć z bronią na Pragę Południe. Pozostali ukryli broń i czekali na dalsze rozkazy. Wszyscy byli pewni, że to jeszcze nie koniec walki, że niedługo trzeba będzie znów chwycić za broń. Nasz zastęp w dalszym ciągu prowadził obserwacje w dotychczasowych punktach i nadal przekazywaliśmy meldunki do „skrzynek”. Zaprzestaliśmy patrolowania około 20 sierpnia na rozkaz dowództwa.

Niemcy wydali zarządzenie, żeby mężczyźni w wieku 16-65 lat zdolni do przenoszenia broni, natychmiast opuścili Warszawę. Wkrótce zaczęły przybywać wojska saperskie, aby przygotować ten teren do obrony przed spodziewanym szturmem wojsk radzieckich. Przystąpiono do budowy barykad. Pojazdami gąsienicowymi zrywali tory tramwajowe i kolejowe, niszczyli głównie drogi dojazdowe i mosty, burzyli domy. Do kopania rowów przeciwczołgowych i okopów zagonili mieszkańców. Z braku wystarczającej liczby mężczyzn wyciągali z domów również kobiety. Z jedną z takich grup zabrali moją mamę. Udało jej się uciec po trzech dniach.

Mimo silnego oporu niemieckiego, po bombardowaniach i ostrzale artyleryjskim z obydwu stron, w dniu 15 września 1944 roku teren Nowego Bródna został zdobyty przez wojska radzieckie i polskie. W tym dniu spłonął dom, w którym mieszkaliśmy. Moja mama została ranna od pocisku, który trafił w nasz dom. Zabrano ją do szpitala wojskowego. Nie mając dachu nad głową, przenieśliśmy się z bratem do znajomych na Grochowie, gdzie udostępniono nam jeden pokój. Miałem trochę nagromadzonej broni i razem z bratem zabezpieczyliśmy ją i zakopaliśmy na podwórku przy ul. Osieckiej. Mieszkaliśmy tam do czerwca 1945 roku. Odnalazł nas tam kuzyn, który w ramach repatriacji opuścił Brześć i szukał miejsca na osiedlenie się w nowych granicach Polski. Dowiedział się, że w Gdańsku jest dużo wolnych poniemieckich mieszkań. W międzyczasie mama wróciła już ze szpitala i wspólnie podjęliśmy decyzję o wyjeździe do Gdańska. I tak od czerwca 1945 roku do dziś mieszkam w tym samym mieszkaniu w Gdańsku-Wrzeszczu.